Rok 1894. We Lwowie, Poniedziałek dnia 4 czerwca Nr. 22

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO"

pod redakcią *Stanisława Rossowskiego.*

Lilia.

(François Copée).

Obok szkatułki z laki z srebnemi gwiazdami.
Na dywanie żółtawym w delikatne kwiaty,
Leży ciężki naszyjnik spięty kameami,
Roztacza się po stole, wspaniały, bogaty.

Promień słońca go dosiągł, zadrżał przedmiot [złoty,
Perły porozsiewane sypnęły blaskami,
Tak jak gdy na grzbiet gadu pokryty łuskami
Słońce rzuci wspaniałe swych promieni groty.

Przy tych blaskach rozsiane, pobladłe, promienie
W których myśl swoje roztacza światło i cienie
I jak kropla przejrzysta zimny brylant błyszczy,

A obok w srebrnej czaszce, gdzie ciemna zasłona
Z purpury, zwisa, jakby na kontrast złowieszczy
Szlachetna, wielka, czysta, biała lilja kona.

Hel. T

Nowelista w koronie.

(Dokończenie).

Pewnego dnia sześćdziesięciu z nas zeszło na dolinę i pochwyciło przeszło setkę francuzów. Prowadziliśmy ich do naszych mieszkań, gdy oto nagle doszła nas wiadomość, że chaty nasze są znów zajęte przez wojska francuskie. Opuściłem towarzyszy i puściłem się przodem na pomoc memu nieszczęśliwemu ojcu. Znalazłem go w kałuży krwi. Miał jeszcze dosyć siły, aby mi powiedzieć: „Synu! Pomścij mnie! Zacząłem wtedy szukać mojej matki i znalazłem jej ciało odkryte, pokryte ranami, w postawie haniebnej Oddaliśmy zwłokom ukochanym ostatnią posługę i postanowiliśmy — wielki Boże, czegośmy wówczas nie postanowili! Ostatecznie wszyscy, jak jeden mąż, zdecydowaliśmy się na opuszczenie Korsyki.

Statek nasz wysadził nas na Gorgonę. Znalazłem, że miejscowość harmonizuje z nastrojem mego ducha. Pozostałem tu, pozostawiwszy sobie tylko trzy muszkiety i baryłkę prochu. Towarzysze moi popłynęli dalej w drogę do Włoch. Żegnałem ich bez żalu. Miałem na trzy dni prowiantów, a wiedziałem, że mało jest punktów na kuli ziemskiej, które nie mogą wyżywić człowieka. Zwaliska, wśród których rozbiłeś twój namiot, są to resztki starożytnego klasztoru. Cysterna do wody jest jeszcze w dobrym stanie. Owady, ryby i żołędzie tych dębów, które widzisz przed sobą, dostarczały mi żywności. Uważam się za dyktatora w tem mojem państwie. Ptaków jest w tych skałach obfitość. ale nie zabijam ich nigdy. Są to moi poddani, a jakżebym ich mógł zabijać, skoro ich nawet nie widuję nigdy? Nieszczęścia, które zatruły moje życie, uczyniły mi nienawistnym blask słońca. Nie świeci ono dla mnie nigdy. Wychodzę tylko w nocy. Ten maleńki lasek sosnowy tu w pobliżu daje nam drzewa na opał więcej, niż go zużyć możemy. Puszczamy się na wyprawy łowieckie przy blasku pochodni.

Rok tak upłynął bez przygód nadzwyczajnych. Aż oto w pewien dzień grudniowy, o tej samej mniej więcej godzinie, ujrzałem w stronie cysterny ogień, świadczący o obecności ludzi. Zbliżyłem się najbliżej, jak mogłem, i dostrzegłem siedmiu turków, prowadzących troje jeńców, skutych w łańcuchy. Widziałem, jak odwiązali jednego i zamordowali, dwoje zaś pozostałych porzucili na wyspie bez żywności. W przekonaniu, że to nie są francuzi, postanowiłem dać im schronienie. Powróciłem do mej groty i rozpaliłem wielki ogień. Światło spowadziło ich do mnie: zbliżyli się i, ku wielkiemu memu zdziwieniu, poznałem moją córkę. Towarzyszem jej był młody francuz. Darowałem mu życie. „Panie! rzekłem, wiedz, że poprzysiągłem zemstę względem francuzów. Tym razem dla ciebie zrobię wyjątek przez miłość dla mojej córki. Poszukaj sobie na tej wyspie miejsca ukrytego, o ile możności oddalonego od mej groty. Nie wychodź nigdy nocą. Wolno ci wychodzić tylko przy świetle słonecznem. Jeżeli złamiesz ten warunek, poniesiesz śmierć z mojej ręki".

Trzy lata przeszły. Nie widziałem mego francuza na oczy, nie wiedziałem, czy jest żywy, czy umarły. Po upływie trzech trzech lat rozpocząłem poszukiwania, ale nie mogłem natrafić na jego ślady Nie wiem, co się stało z tym człowiekiem, ale błogosławię niebo, że mnie od niego uwolniło.

Sześć lat temu obudził mnie huk dział z muszkietów. Słońce już wstało, nie chciałem wychodzić i, jakkolwiem pokusa złamaeia przysięgi była nader silna, wyszedłem dopiero w nocy. Zaledwie noc okryła ziemię ciemną oponą, rozpaliłem wielki ogień i wyszedłem, aby okrążyć moje królestwo. Ujrzałem siedmiu ludzi; rozciągnionych na ziemi na kocach, i czterech, którzy im usługiwali. Ci ostatni uderzyli na mnie. Warjat ze mnie! Nie miałem dosyć przytomności umysłu, aby się bronić! Rwali mi brodę

znieważali mnie, nazywali dzikim człowiekiem, chcieli mnie zmusić do wskazania, gdzie była woda. Odmówiłem, pragnąc ich ukarać za brutalstwo. Oczywiście, byli to francuzi. Córka moja, towarzysząca prawie wszędzie, zjawiła się niebawem. Widząc, co się dzieje, zabiła dwóch z nich jednym wystrzałem ze swojego muszkietu Dwóch pozostałych uciekło. Fregata stała w pewnem oddaleniu od wybrzeża, gdyż bliżej nie mogła się podsunąć z powodu skał niebezpiecznych. Wołałem na załogę, aby zabrała swoich chorych. Wysłali trzech ludzi, którzy wpław przepłynęli przestrzeń morską, oddzielającą ich od lądu. Pozwoliłem, aby wszyscy, chorzy i zdrowi, odpłynęli na łodzi, kołyszącej się na fali wybrzeża. O, niewdzięczności ludzka! Zaledwie dosięgli swojego okrętu, zaczęli bombardować te ruiny, w mniemaniu, że w nich mieści się moje mieszkanie. Odtąd znów przysięgłem na ołtarze mego Boga, że nie zaznam litości względem francuza. Przed kilku laty zatopiłem dwa okręty tego narodu. Kilkunastu majtków, dobrych pływaków, szukało schronienia na naszem wybrzeżu. Wymordowaliśmy ich wszystkich.

Zeszłego roku jeden z okrętów, zajmujący się handlem pomiędzy Korsyką a Francją zapuścił tu kotwicę Wzruszyły mnie rozpaczliwe krzyki marynarzy. Często wyrzucałem sobie tę chwilę słabości.

Rozpaliłem ogień zbawczy w bliskości miejsca, gdzie mogli wylądować bezpiecznie. Dzięki temu ocaleli wszyscy. Sądzisz może, że ich wdzięczność.. Nie! Dwaj z nich, dwaj żołnierze eskortowali więźnia, którego pozostawili na pokładzie. Zapytałem, czem człowiek ten zawinił. Odpowiedziano mi, że był to bezecny korsykanin i że cała ta rasa zasługuje na powieszenie bez sądu. Wyobraź sobie gniew mój! Nadomiar odgadli, że jestem korsykaninem, i postanowili zabrać mnie z sobą. Byłem dla nich godnym łamania kołem. Nie dosyć na tem. Zakuli mnie w łańcuchy, sądząc, iż rząd francuski nałożył nagrodę na moją głowę. Czułem, żem zgubiony. Miałem przypłacić życiem nieprzebaczoną chwilę mojej słabości. Niebo ocaliło mnie tym razem. Okręt stać musiał na kotwicy przez siedm dni. Siódmego dnia zabrakło wody. Za wszelką cenę musieli się dowiedzieć, zkąd zaczerpnąć świeżego zapasu. Obiecali mi wolność, rozkuli żelaza, które mnie krępowały. W tej chwili zatopiłem mój sztylet mściwy w sercach dwóch majtków. Wtedy to po raz pierwszy od wielu lat ujrzałem na niebie gwiazdę dnia. Jakże wspaniałe są jej blaski! Ale, o Boże jak może ta gwiazda prześwietna patrzyć na tyle okrucieństw.

Córka moja przedemną była skuta łańcuchami. Na szczęście okrutni zdobywcy nie odgadli jej płci. Należało miznaleść sposób ratunku. Po długim namyśle przywdziałem mundur jednego z żołnierzy, zabitych przed chwilą moim sztyletem. Uzbrojony w parę pistoletów, które znalazłem u boku moich ofiar, ująwszy w dłonie szablę i moje cztery sztylety, wkroczyłem na pokład. Kapitan i jeden z majtków przedewszystkiem doznali skutków mojej wściekłości. Pozostali padli również pod mojemi straszliwemi razami. Przewiozłem na wyspę całe uzbrojenie i urządzenie statku. Potem przywlekliśmy wszystkie trupy przed nasz ołtarz i oddaliśmy je na pożarcie płomieniom.

* * *

Na tem urywa się fragment utworu belletrystycznego, napisanego przez Napoleona I-go. Obok pseudoklasycznych ołtarzy i bóstw, znajdujemy tu tchnienia rodzącego się romantyzmu. Młody artylerzysta, który niebawem przywdział koronę cesarską, utrzymał się w stylu swojej epoki, a za treść do swej noweli kartkę z dziejów ziemi rodzinnej, boć z Korsyki ród Bonapartych pochodzi.

Miłosierdzie w Ameryce.

Nietylko pod względem wielkiego przemysłu, humbugu i kaczek dziennikarskich przewyższa Ameryka starą Europę. Ktoby odgadł przed kilkudziesięciu laty, iż Stany Zjednoczone będą w roku pańskim 1894 państwem najbogatszem w... ludzi bez pracy? Ktoby odgadł, iż to czarowne Eldorado, dokąd śpieszyło tylu europejczyków zgłodniałych, nie może dać swoim gościom nic więcej nad nędzę i poniewierkę, tem straszniejszą, iż nieoczekiwą. Tak jednak jest w istocie: w chwili, gdy to piszemy, liczba ludzi bez pracy dochodzi w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej do bajecznej cyfry... 15 milionów! Trzecia część z tych 15 milionów dojada już resztek oszczędności. Świeżo naliczono w Bostonie 40,000 ludzi, którzy w braku zarobku cierpią najstraszliwszą nędzę. Według danych urzędowych, ogłoszonych przez departament dobroczynności publicznej w stanie Illinois około 117.000 osób poszukiwało daremnie pracy podczas ostatniej wystawy w Chicago.

Zbytecznem byłoby doszukiwanie się na tem miejscu przyczyn takiego stanu rzeczy; wystarczy skonstatowanie faktu, iż wadliwa polityka wewnętrzna lat ostatnich, ogólny zastój w przemyśle, wreszcie zbyt liczna emigracja ludzi niefachowych sprowadziły na Stany Zjednoczone przesilenie bardzo ciężkie.

Ostatecznie coś zrobić trzeba z temi milionami głodnych i pozbawionych pracy. Duch inicjatywy, którego amerykanom nie brak, ofiarność publiczna, hojność jednostek bogatych starają się zaradzić złemu choć w części. Jakoż w części zaledwie udaje się to inicjatywie, hojności jednostek i ofiarności publicznej

Zacznijmy od towarzystwa „University Settlement". Jest to stowarzyszenie studentów i profesorów nowojorskich, przypominające pod pewnemi względami, mianowicie pod względem organizacji, nie zaś celów, towarzystwo, istniejące w Londynie pod nazwą „Toynbee Hall". Członkowie korporacji starają się wchodzić w bliższe stosunki z młodzieżą robotniczą, aby poznać dobrze jej potrzeby i w danym razie zaatakować nędzę rzeczywistą w jej prawdziwem, nie zaś fikcyjnem gnieździe. Ze względu na swoją powagę umysłową, stowarzyszenie może czynić bardzo wiele dobrego. Pokwitowania kwestarzy z „University Settlement" dobrze są znane w kasach milionerów Nowego świata.

Obok tego stowarzyszenia męskiego, istnieje podobna instytucja, „College Settlement" do której jedynie kobiety należą. Oba te stowarzyszenia idą ręka w rękę Tak np. „University Settlement" wybiera setkę ludzi, pozbawionych pracy, dostarcza im narzędzi i płaci za oczy-

szczenie tej lub owej dzielnicy oddalonej od środka miasta; ze swojej strony „College Settlement“ opiekuje się żonami i matkami tych biedaków, otwiera dla nich pralnie, szwalnie, cerowalnie, dostarcza roboty do domów itp.

Niezależnie od tego stowarzyszenia „Kultury etycznej utworzyło w ostatnich czasach liczne szwalnie, w których kobieta, potrzebująca pracy znaleść może przez miesiąc jaki taki zarobek. Pracy również dla nędzarzy poszukuje towarzystwo „Charity Organisation Society“, a dostarcza jej w stosunku wynagrodzenia 2 fr. 50 cent. za 5 godzin pracy na dobę.

Wielkie usługi oddaje komitet złożony ze 100 znakomitych obywateli Nowego Jorku. Komitet ten zajmuje się zakładaniem takich garkuchni, gdzie za 25 cent. można dostać kompletny obiad, złożony z zupy, porcji mięsa, filiżanki kawy lub herbaty i chleba. Z drugiej strony, choć w imię innych haseł, dążą stowarzyszenia wstrzemięźliwości, „The Vigilance League“, organizujące zakłady, gdzie za opłatą minimalną nędzarze jedzą piją, nawet bawią się, grając w bilard itp., z warunkiem, aby nikt z pensjonarzy nie brał do ust kropli alkoholu.

W razach nadzwyczajnych, np. w ciężkich miesiącach zimowych, tworzą się wciąż stowarzyszenia filantropijne, które starają się wszelkimi sposobami zaradzić nędzy ogólnej. Tak np. „Komitet prowizoryczny przeciwko głodowi“, ze swoim prezesem Oliwierem Teail na czele, niejednokrotnie wywołuje ogólne zdumienie w Ameryce tak dzielną energią swej działalności, jak rezultatami, jakie przy skromnych stosunkowo środkach osiąga.

Ekonomiści i moraliści zarówno w Europie, jak w Ameryce, walczą wciąż o zasadę organizowania i stosowania miłosierdzia. Profesor socjologji uniwersytetu w Chicago, Izaak Churvitz, po długoletniej pracy nad obyczajami nędzarzy, ogłosił broszurę, w której doszedł do rezultatów, ogłoszonych już w Europie przez Pauliana i Berry'ego: że jałmużna i miłosierdzie prywatne, a nawet po części publiczne (z wyjątkiem, gdy idzie o kaleki i starców) jest w zasadzie szkodliwe, nie może być jednak usunięte z powodu, ze każdy człowiek jeść chce i musi, a nie każdy umie i może na chleb zapracować.

A instytucja „centyma dobroczynnego“? Przed trzema laty zaledwie była zainicjowaną, a dziś obejmuje już najszersze kręgi amerykańskieeo ogółu. Pierwszy dał początek Byrnes, szef policji w Mowym Jorku; namówił on swoich podwładnych, aby na rzecz nędzy wyjątkowej płacili od swoich pensyj podatek. Utworzono również mnóstwo „klubów 6—9—15“, których członkowie, przeważnie z klasy robotniczej, oddają ze swego zarobku po 6, 9 lub 15 centymów tygodniowo na rzecz nędzy ostalniej. W jednym tylko stanie Nowy Jork klasy klubów otrzymają z tego źródła 70.000 fr tygodniowo. W niektórych fabrykach sami właściciele strącają z płac robotniczych owe „centymy dobroczynne“, dodają z własnej kieszeni drugie tyle i przelewają wpływy do kas centralnych, utworzonych w każdem większem miasteczku przemysłowem. W ostatnich latach powstało na gruncie amerykańskim stowarzyszenie bardzo oryginalne: w razie bankructwa większego zakładu przemysłowego, stowarzyszenie szuka dla właściciela kredytu, dopomaga mu pożyczkami zwrotnemi lub nawet bezzwrotnemi, umawia się z wierzycielami, jednem słowem, wszelkiemi środkami stara się o umożliwienie bankrutowi ponownego puszczenia w ruch fabryki, aby tylko robotnicy, w niej pracujący, nie pozostali bez zarobku.

Filantropowie prywatni miewają niekiedy pomysły bardzo dla nędzarzy korzystne Między innymi jeden z miljonerów nowojorskich, Strass, kupuje od lat kilku hurtownie ogromne ilości węgla kamiennego i sprzedaje je detalicznie po cenie kosztu. W ten sposób miljoner, nie wydawszy z kieszeni własnej ani dolara, świadczy wielkie dobrodziejstwa biedakom, którzy dostają opał za połowę ceny, praktykowanej u składników. W jednym z takich magazynów strassowskich w Nowym Jorku przy Grand Street liczba kupujących dochodzi do 10.00 dziennie.

Z wycieczki do siedziby „duchów“

W Kurj. Codz. pomieścił p. *W. Chłopicki* następujący uwagi godny artykuł:

Niejednokrotnie w dziennikach spirytystycznych dawało się nam napotkać nazwisko Teodora Munstera, cichego, a jednak dawnego już bardzo na niwie „wiedzy wyklętej“ pracownika. Od lat dziesięciu blizko człowiek ten w skromnym swym zakątku oddaje się z zamiłowaniem praktykom medjumicznym. Ile doznał przykrości od miejscowego otoczenia, zawodów, ile poniósł pracy kosztów, starań, by wytrwać na raz powziętem stanowisku, mogą chyba zaświadczyć ciche mury jego ustronnego domku, progi które dla każdego stoją otworem, bądź ów któś żądny jest wiedzy, wrażeń, lub wprost zaspokojenia próżnej ciekąwości. Ostatni ten powód zwłaszcza wytworzył szereg plotek, intryg, insynuacji, będących całą nagrodą nieopatrznej gościnności inteligentnego starca i dobrych chęci popularyzowania przedmiotu. Dziś tu za to panuje rygor katoński!

W roku 1888 odwiedzałem p. Maunstera i wrażenia odniesione z ówczesnego seansu opisałem w książeczce mej „Teorja i praktyka spirytyzmu“. Siły medjów wtedy były w stadjum dzisiejszych sił medjumicznych Eusapji Palladino i produkcje więc były podobne. Uciekano się do stoliku i siedziano po ciemku.

W połowie kwietnia r. b. otrzymałem list od p. Munstera, zapraszający mnie do Proskurowa*) Przykro mi pisze, iż sam tylko cuda te oglądam; tu bowiem na prowincji nikt się tem nie interesuje i przepada to marnie bez pożytku żadnego dla nauki. Zmiłujcie się, przyjeżdżajcie, namówcie Ochorowicza, uczonych waszych. Z wstąpieniem ich w progi moje, siebie, medja, cały dom mój daję pod wasze rozporządzenia. Kotrolujcie, pieczętujcie, wiążcie, róbcie, co się wam, moi panowie, żywnie podoba. Dawajcie mi tu największego sceptyka, byle człeka przyzwoitego i z taktem, objawów to nie osłabi. Chcecie oglądać cały proces materjalizacji i dematerjalizacji przy dostatecznem świetle, to przyjeżdżajcie, gdyż kwestja czy uda się wam gdziebądź coś podobnego oglądać.

Zniechęceni tak ponętną obietnicą z jednej a zaś wiadomością, iż kółko Aksakowskie w Pe-

*) Miasteczko powiatowe w gubernji Podolskiej.

ersburgu wysłało tam delegata swego, z drugiej strony, skomunikowawszy się z tym ostatnim, którym był dr. Siemionow i otrzymawszy odeń zachęcające pismo, wyruszyliśmy samotrzeć do owego Proskurowa: Ignacy Matuszewski literat. Bolesław Vogt inżynier i ja.

Pomijając szczegóły długiej bardzo i uciążliwej podróży, przystępuję wprost do rzeczy:

Na dworcu Proskurowskim, gdzieśmy stanęli o 2 popołudniu, trzeciego dnia podróży spotkał nas uśmiechnięty staruszek o długinj siwej brodzie i rysach Sokratesa. Był to pan Munster. Słuchać nie chciał o tem, byśmy mieli zajżdżać do jakiego hotelu i przemocą zabrał nas do siebie, powtarzając wciąż, „że w tem ma swój interes“. Jak się później okazało interes ów polegał na tem, abyśmy mieszkali i sypiali koniecznie w pokoju seansowym i tem samem mogli dać świadectwo o braku tam wszelkich, przypisywanych w razach podobnych, urządzeń kuglarskich.

Znalazłszy się w domku p. Munstera, odrazu wprowadzeni zostaliśmy do pokoju seansowego. Salonik to o trzech oknach, w głębi przedzielony kotarą stale upiętą na odpowiednich ramach, umocowanych pomiędzy ścianami. To tak zwany gabinet medjów. który w dzień jest tylko dalszym ciągiem pokoju i jednego umeblowania.

Ściany salki zawieszone wizerunkami znakomitych uczonych na polu spirytyzmu, fotografiami słynniejszych medjów, duchów jakie się ujawiały przy fotografowaniu zamagnetyzowanych medjów i zjawisk, zdejmowanych podczas seansów przy świetle magnezjowem. Tu i ówdzie widniały ramki, za szkłem których przechowały się kwiatki zasuszone i inne przedmioty, które drogą „aportów“ przywędrowały.

(C. d. n.)

Antka.

SZKIC.

(Ciąg dalszy.)

Bała się tego, czego niepotrafiła sobie wyobrazić, co zdawało się patrzeć na nią smutnymi oczyma z ciemnych kątów izby, zaglądało przez zamglone deszczem szybki, niekiedy stawało tuż przed nią. Było to coś niewidzialnego. niejasnego, lotnego, ale było. A stary spał ciągle, stękając niekiedy mocno.

Rzuciła się znów na ławę, nie mogąc uleżeć na posłanie w kącie. Koło niej wszystko obracało się jak w wirze wodnym. Na dworze deszcz szumiał głośno. Głowa jej była rozpalona jak ogień. Chwilami opadał ją kaszel ale tylko krótko. Gęsty pot okrywał jej czoło. Zamknęła oczy i starała się usnąć Napróżno. Myśl jedna stała koło niej ciągle jak prześladowca stały a groźny. Zdawało się jej nadto, że stach siedzi ciągle na ławie milczący jak ryba i ponury jak noc. Czuła też ogromną ciężkość w piersiach i całem ciele Chwilami dusiło ją coś w gardle, a po twarzy spływały łzy. Obracało się z boku na bok, ale usnąć nie mogła. Wstała więc i otworzyła okienko. Krople gęstego deszczu oblały jej twarz. Do izby wpłynął powiew zimnego wiatru i owionął ją całą. Zamknął okienko i siedziała tak drzemiąc. Na dworze dnieć poczynało.

Nagle myśl jakaś przyszła jej do głowy. Stach ma dziś rano odejść ze wsi i pewnie przed świtem wyruszy do miasta. Postanowiła więc go uprzedzić i iść z nim kawał drogi, która wiodła do wielkiego gościńca. W ten sposób będzie go widzieć dłużej, niż gdyby pożegnała go w chałupie. Zarzuciła chustkę na ramioona i wybiegła z izby. Na dworze szaro było i smutno. Deszcz ustał, ale ciężkie. atramentowe chmury wlokły się nisko nad ziemią i wiatr chłodny giął drzewa po sadach. W chacie Stachowej matki świeciło się już jasno. Gdy Antka znalazła się na ulicy, drzwi chaty otwarły się i w nich ukazał się Stach z matką. Ucałował matkę w rękę i w ramię i począł iść sam spiesznie pod płotami sadów kierując się ku chacie Antki. Ale Antka już go wyprzedziła i wysunąwszy się z za płotków stanęła tuż przed nim. Stach otworzył szeroko oczy, ale wnet uścisnął ją mocno za rękę i zarzuciwszy niesiony w ręce tłómoczek na ramiona poszedł wraz z Antką rozmokłą od nocnego deszczu drogą.

Szli tak długo, nie przemówiwszy do siebie ani słowa. Stach miał minę dość wesołą, ale Antka poznała zaraz, że tylko udaje. Rzeczywiście spoglądał często na Antkę, a w w oczach czystych jak źródło na łące kręciły mu się łzy, które napróżno ukryć usiłował. Po pewnym czasie dopiero odezwał się prawie z przymusem:

— Żebyś wiedziała sobie, Antko, co za kilka niedziel będę we wsi cały dzień. Powiedzieli mi w mieście, co mogę prosić o pozwolenie u kapitana. Nagadamy się wtedy za cały rok.

Antka milczała, on ujął ją za rękę i odtąd szli tuż obok siebie. On ciągnął dalej:

— A żebyś mi nie chorowała, bo bym musiał sam sprowadzić doktora...

(Ciąg dalszy nastąpi).

L. T Grabowski.

Ze zdań Solona.

Prawo podobne do pajęczej sieci,
Rozpiętej wokrąg na drzewa gałęzi —
Gdy mała muszka, brząkając, nadleci,
Pajęcza nitka natychmiast ją więzi.
Lecz gdy silniejszy owad w siatkę wpadnie,
Zerwana nitka opada bezwładnie.

J. Klemensiewicz